

Z mojej łoży

Krakowski tandem

Kto są Skuszancka i Krasowski? Któż nie wiel Kierują głównym teatrem w Krakowie, zatem jednym z najważniejszych w skali ogólnopolskiej. W dziejach teatru w naszym Trzydziestoleciu, to dyrektorzy i artyści jedni z bardziej zasłużonych.

Moi starzy znajomi, dawni antagoniści, od dawna już nie. Kraków kumał się z nimi od początku ich wspólnej działalności, wnieśli w miasto ferment teatralny w czasie, gdy w Teatrze im. Słowackiego królowała akademizm, a Teatr Stary miał cechy prowincjonalne i pełnił rolę giermka wobec rycerza z placu Ducha Świętego. Skuszancka i Krasowski wnieśli ferment do Krakowa, tak, wyrażam się ściśle — do Krakowa, a nie do Nowej Huty, która może i dumna była ze swego ówczesnego teatru o nazwie Ludowy, ale widzów mu nie dostarczała. Formuła takiego dobrego teatru, jaki chciała wkorzenić w Nową Hutę Skuszancka, nie była — uważałem — odpowiednia dla młodego, socjalistycznego miasta. W różnicy ocen tego, co potrzebne teatrowi w Nowej Hucie, zamykała się istota sporu między mną a ówczesnym kierownictwem Teatru Ludowego — kiedyś ten spór miał szeroki rozgłos nie tylko w Krakowie i okolicy.

W ostatnich latach rozluźnił się trochę mój kontakt z twórczością reżyserską Skuszancki i Krasowskiego, ale na wiosnę roku bieżącego pokazał Jerzy Krasowski w Warszawie „Thermidor” Przybyszewskiej w swoim opracowaniu reżyserskim, a w Teatrze im. Słowackiego obejrzałem ostatnią chronologicznie pracę reżyserską Krystyny Skuszancki — „Lillę Wenedę” Słowackiego.

Przywieziony przez Krasowskiego do stolicy „Thermidor” był przedstawieniem dyplomowym studentów IV roku Wydziału Aktorskiego PWST im. Solskiego w Krakowie, i nie wzbudził niemal żadnego echa. A szkoda, bo przedstawienie było udane, a sztuka wyborna. Nieszczęśliwej córce Stanisława Przybyszewskiego nic się w życiu nie udawało, ale dwie sztuki teatralne, które zdołała napisać, zapewniły jej w dramaturgii polskiej trwałe miejsce. Sam wielki Schiller uważał, że jej „Sprawa Dantona” to utwór lepszy niż znany w całym świecie „Danton” Büchnera. Krasowski przywrócił teatralne życie „Sprawie Dantona” i wystawił też „Thermidor” — przy czym oczyścił oba teksty z niedobrych naleciałości i pokazał jako świetne dramaty polityczne, a więc należące do tego typu teatru, na którym nam tak bardzo zależy. Warszawa sztuk Przybyszewskiej nie zna — chociaż poznała sztukę Büchnera o Dantonie. A przecież się mówi, że teatry nasze poszukują sztuk politycznych!

Byłem pracą Krasowskiego z krakowskimi elewami zbudowany — są wśród nich młodzi aktorzy, o których na pewno będziemy dużo pisać — podobnie jak z uznaniem oglądałem wyniki pracy Skuszancki nad „Lillą Wenedą” — zadanie dość karkołomne, zważywszy czym „Lilla Weneda” grozi w teatrze.

Był to bowiem ze strony Słowackiego iście szatański pomysł napisania pięciu dramatów z legendarnej (i pseudolegendarnej) przeszłości Polski, który też już po napisaniu drugiego utworu z tego cyklu zraził i zniechęcił najwierniejszych przyjaciół poety. Słowacki to zrozumiał i dalszemu ciągowi (dramat „Kra”) dał spokój. Ale co napisał, to zostało, i to się gra z pietyzmem. Więc nadal straszą eteryczni Wenedzi i prostacy Lechici, król Derwid i królowa Gwinona, z Brytanii rodem, jak Lelum i Polelum ze słowiańskiej mitologii, i wszyscy wysilają się, by i wilk (wówczas współczesny) był syty i koza (intencje poety) cała, by dramat — z natury przesadny i doprawiony dodatkami z kuchni Wiktora Hugo — nie stał się li tylko operą bez muzyki.

Otóż Skuszancka ta sztuka się powiodła, przy tym nie na zasadzie szoku, lecz zracjonalizowanej analizy. Z wątków operowych i melodramatycznych wyłuskała jądro satyryczne i oparła je w dyskusję, trochę estradową, ale czy poezja polityczna romantyków nie była polityczną estradą? Tak Wenedzi i Lechici z poetyckiej fantazji stali się po równi Polakami po klęsce powstania, a Śluz czy Święty Gwałbert działaczami emigracyjnymi. Przy czym rozrachunek poety z niedawną przeszłością wypukliła tylko nieznanymi wstawkami z innych utworów Słowackiego (bez których przedstawienie mogłoby się było zresztą obejść). Do tych obcych dodatków nie wliczam, rzecz jasna, wielkiej publicystyki (i poezji) „Grobu Agamemnona”; bo przecież już sam Słowacki połączył ten genialny pamflet z rozkołysaną hłarfami „Lillą Wenedą”.

A więc sukcesy na obu frontach. Skuszancka i Krasowski to dziś firma solidna, budząca zaufanie. Po młodych wlotach w Nowej Hucie, krótki warszawski i dłuższy wrocławski etap działalności nauczył ich wiele, wiele też rozwiął ich omyłek i złudzeń. Gdy wrócili do Krakowa — a mam nadzieję, że tym razem na stałe — i objęli stanowiska kierownicze w najdostojniejszym krakowskim teatrze, poczułem się usatysfakcjonowany, gdyż od lat widziałem dla nich najlepsze miejsce właśnie w Teatrze im. Słowackiego. Z początku niezbyt im szło, jakby utracił dawny rozpęd, i jakby zapomnieli, że widowiska odnawiane bywają rzadko kiedy czymś więcej niż koplą. W teatrze, który odziedziczyli, też nie było najlepiej: zespół nierówny, sporo aktorów małodobrych, repertuar mdły, sympatie dla staroci. Tylko marzyciele (niepoprawni) mogli w tych warunkach liczyć na rychłe sukcesy, bo chociaż cuda w teatrze nieraz się zdarzają, jednakże nie takie.

Ale teraz, wydaje się, że okres rozruchu mają już za sobą. I krzywa wyników rośnie. I mam nadzieję, że jak przyjdzie jego pora (Krakowa) w ramach Panoramy XXX-lecia — zobaczy Warszawa może niejedną pracę krakowskiego tandemu.

JASZCZ